

OSTATNI SKARB

PRZYGODY ULISESA VIDALA



FERNANDO
GAMBOA

OSTATNI
SKARB

OSTATNI SKARB

PRZYGODY ULISESA VIDALA

FERNANDO
GAMBOA

Oryginal work copyright:

©Fernando Gamboa

Tytuł oryginału:

El Último tesoro

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska, Natalia Grzeszczak

Skład i łamanie: Piotr Jarco

ISBN: 978-83-976707-4-7 (druk)

ISBN: 978-83-976707-5-4 (EPUB)

ISBN: 978-83-976707-6-1 (MOBI)

ISBN: 978-83-976707-7-8 (PDF)

ISBN: 978-83-976707-8-5 (audiobook)

autornia

www.autornia.com

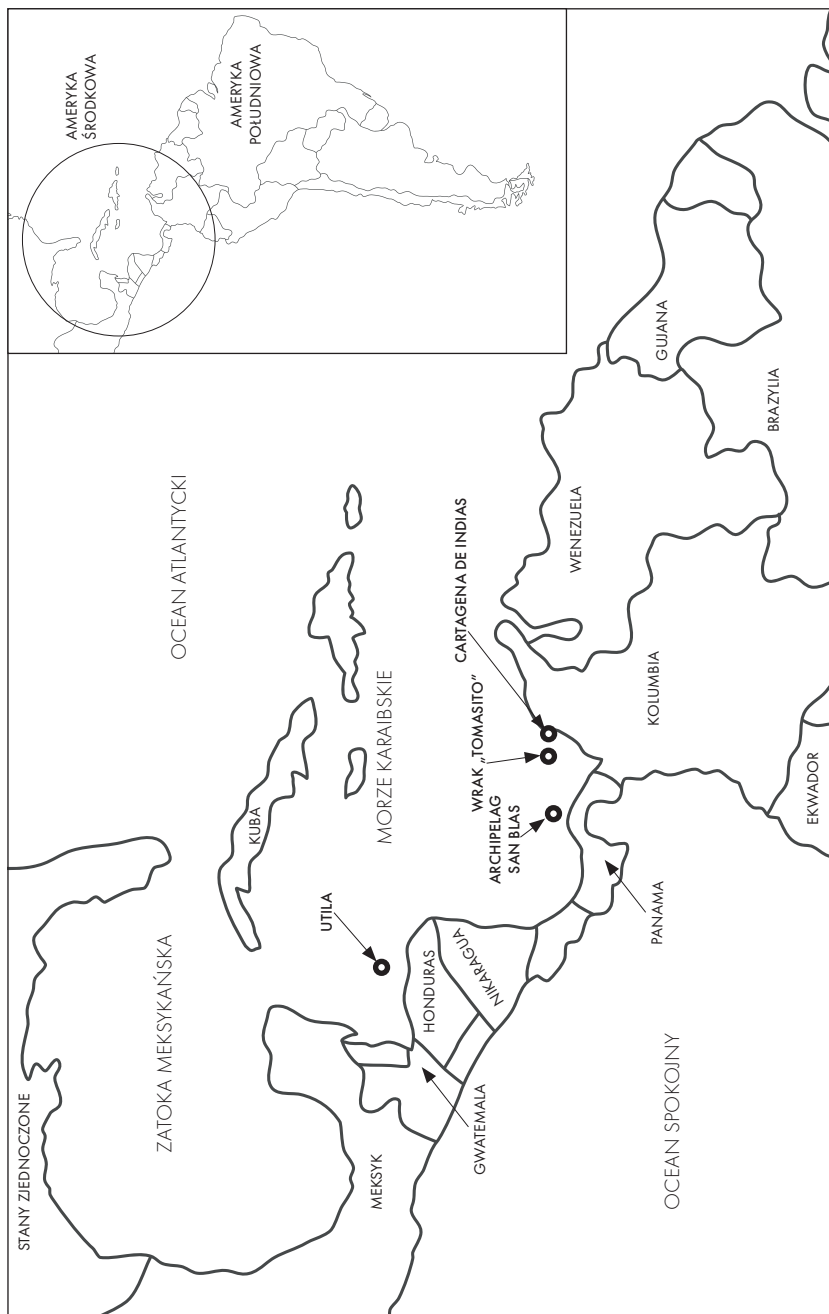
e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2025 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2025

*Za dwadzieścia lat będziesz bardziej żałował tego,
czego nie zrobiłeś, niż tego, co zrobiłeś.
Odwiąż więc cumy i wypłyni z bezpiecznej przystani.
Niech pasaty wypełnią twoje żagle.
Eksploruj.
Marz.
Odkrywaj.*

Mark Twain



Nota od autora

Na wstępie pragnę zaznaczyć, że to krótkie opowiadanie liczy niecałe sześćdziesiąt stron, a jego głównym bohaterem jest Ulises Vidal, którego poznać lepiej w kolejnych częściach serii. Akcja „Ostatniego skarbu” rozgrywa się przed wydarzeniami opisanymi w „Ostatniej krypcie”.

Nie spodziewajcie się więc kilkusetstronicowej powieści, jak w innych tomach cyklu. Traktujcie tę historię jako smakowitą przystawkę przed nadchodzącym daniem głównym. Jeśli jeszcze nie mieliście okazji poznać Ulisesa Vidala, teraz macie doskonałą sposobność, by zanurzyć się w jego świecie. Ci, którzy już go znają, z pewnością uśmiechną się na myśl o starym, dobrym Ulisesie, który jak zwykle wpada w tarapaty, a potem z trudem próbuje się z nich wydostać.

Podsumowując, „Ostatni skarb” to krótki, porywający thriller przygodowy, łączący napięcie z humorem, osadzony w burzliwych realiach kolumbijskich Karaibów. Jestem przekonany, że przypadnie do gustu zarówno miłośnikom gatunku, jak i wiernym fanom serii.

Z całego serca życzę Wam przyjemnej lektury.

Z serdecznymi pozdrowieniami
Fernando Gamboa

Odkrycie

Tuż nad moją głową przemknęła motorówka. Przecięła wodę z irytującym rykiem, pozostawiając na powierzchni szeroki ślad piany – biały jak smuga kondensacyjna na niebie.

Najwyraźniej zignorowali bojkę, którą umieściłem na wodzie. Pokręciłem głową, myśląc, że pewnie nie mieli pojęcia, co oznacza białoniebieska flaga sygnalizująca obecność nurków.

Uroki weekendowego nurkowania.

Obszar wokół Wyps Różańcowych, na południowy zachód od Cartageny de Indias, roił się od niedzielnych imprezowiczów i pijanych kretynów, gnających na motorówkach bez opamiętania. Gdybym nie znajdował się akurat dwadzieścia metrów pod wodą i nie miał w ustach automatu do oddychania, z pewnością posłałbym im soczystą wiązkę przekleństw. Musiałem jednak zadowolić się prychnięciem przez nos, co oczywiście spowodowało zaparowanie maski.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na manometr. Wskaźnik nieubłaganie zbliżał się do czerwonego pola. Po chwili znów skupiłem się na wykrywaczu metali Excalibur i kontynuowałem przeszukiwanie śnieżnobiałej łachy piasku, usianej drobnymi rafami. Wokół mnie wyrastały koralowce o intensywnych odcieniach czerwieni, fioleto i żółci, przypominające miniaturowe krzewy. Pomiędzy nimi wirowały ławice ryb, które mieniły się elektrycznym błękitem, opalizującą zielenią i atramentową czernią. Podwodny krajobraz był równie urzekający, co nierzeczywisty – jakbym dryfował w psychodelicznym śnie po solidnej dawce substancji odurzających.

Nieco dalej dostrzegłem charakterystyczne sylwetki rekinów rafowych, które patrolowały swoje terytorium, stapiając się z szaroniebieską głębią. Pojawiały się bezgłośnie i znikwały jak zjawy. Czasem podpływały

bliżej, by przyjrzeć mi się swoimi chłodnymi, nieprzeniknionymi oczami, z których trudno było odczytać jakiekolwiek intencje. Nurkowałem tu od dawna i jak dotąd żaden z rekinów nie wykazał chęci, by sprawdzić, jak smakuję. Nie byłem więc szczególnie zaniepokojony ich obecnością, ale mimo wszystko nie spuszczałem ich z oczu – na wszelki wypadek. W końcu lepiej sto razy się obejrzeć niż raz nie zdążyć.

W tym momencie rozległ się alarm komputera nurkowego, oznaczający, że nadszedł czas, aby wracać na powierzchnię. Zaledwie chwilę później Excalibur w mojej dłoni zaczął pisać jak szalony.

– Nie rób mi tego! – jęknąłem w duchu. Czterdzieści minut pod wodą – i dopiero teraz, gdy kończy mi się powietrze, znajduję coś interesującego.

Najrozsądniej byłoby oznaczyć to miejsce chorągiewką, którą zawsze noszę przy sobie, i po prostu wrócić tu później.

Jednak gdybym miał choć odrobinę rozsądku, nie siedziałbym w moim wieku samotnie pod wodą, otoczony rekinami, na głębokości ponad dwudziestu metrów, przeszukując dno kolumbijskich Karaibów w starym neoprenie, z magnetometrem wypożyczonym za grosze od miejscowego nurka.

A właśnie – chyba jeszcze się nie przedstawiłem.

Nazywam się Ulises Vidal. Urodziłem się w Barcelonie ponad czterdzieści lat temu i jestem profesjonalnym nurkiem. Mam brązowe oczy, kasztanowe włosy, mierzę metr osiemdziesiąt i ważę około siedemdziesięciu kilku kilogramów – osiemdziesiąt według łazienkowej wagi, która najwyraźniej mnie nie lubi. Lubię piwo, morze i kobiety – niekoniecznie w tej kolejności. Pomimo siwiejących włosów wciąż unikam rutyny i obowiązków, tak jak unika się płacenia podatków. Mam także niezwykły talent do pakowania się w kłopoty – niestety do rozwiązywania ich już nie do końca.

Ach, i nie cierpię rekinów.

Teraz, gdy znasz te szczegóły, zastanawiasz się pewnie, jak w ogóle tu trafiłem. Odpowiedź jest prosta: jestem uosobieniem naiwności, a wręcz – naiwnym idiotą.

Kilka miesięcy temu, gdy pracowałem jako instruktor w centrum nurkowym na Arubie, podczas jednej z rozmów przy stole zastawionym

pustymi butelkami po piwie, pewien emerytowany kapitan fregaty wymienił półgłosem nazwę, która od tamtej chwili nie dawała mi spokoju: „Tomasito”.

Tak, wiem – to nie brzmi jak coś, na punkcie czego można się zafiksować. Przypomina bardziej pseudonim jakiegoś śpiewaka flamenco. Klucz tkwił w pełnej nazwie: „Galeon Tomasito”. To czterdziestometrowy okręt pływający pod hiszpańską banderą, o wyporności tysiąca ton, uzbrojony w pięćdziesiąt dział. Zatonął 4 listopada 1800 roku podczas sztormu, zabierając ze sobą czterysta dziewięćdziesiąt trzy dusze. Na pokładzie przewoził ładunek, który mógł rozbudzić wyobraźnię każdego: skrzynie pełne klejnotów, drogocennych kamieni oraz pięćdziesiąt dwa tysiące złotych monet.

Gdzieś między piątym a szóstym piwem emerytowany marynarz wymamrotał, że wrak spoczywa na północ od Wysp Różańcowych. Nikt go jeszcze nie odnalazł, a w jego ładowniach miało się kryć więcej bogactw, niż mógłbym przepuścić w ciągu i stu swoich żyć.

Był tylko jeden drobny szczegół: wydobywanie skarbów z wraków spoczywających na kolumbijskich wodach jest absolutnie zabronione. Śmiałkowie, którzy próbowali wzbogacić się na niezliczonych skarbach poukrywanych u wybrzeży Kolumbii, rzadko cieszyli się życiem dłużej niż kilka miesięcy. Często tracili je już po zaledwie kilku tygodniach. Zazwyczaj kończyli w podobny sposób: porzuceni, dryfując twarzą w dół w porcie, z dziurą w czole lub wśród cuchnących śmieci w jakimś zapomnianym zaułku.

Takie drobne niedogodności nie mogły mnie jednak powstrzymać. W mojej piersi płonął ogień przygody i chciwości, szepcząc mi do ucha, że jeśli tylko będę wystarczająco ostrożny i sprytny, mogę uchodzić za zwyczajnego turystę – amatora nurkowania, zafascynowanego rafą koralową. Nikt nie zgadnie, czym tak naprawdę się zajmuję, a nawet jeśli to zrobi, będzie już za późno.

Czy wspominałem już, że jestem idiotą?

Tak oto znalazłem się w tej sytuacji – o krok od utraty wszystkich oszczędności, które gromadziłem przez lata. Po pięciu tygodniach bez-

owocnych i frustrujących poszukiwań usłyszałem alarm komputera nurkowego, wzywający mnie do natychmiastowego wynurzenia, oraz pisk magnetometru, który nakazywał zejść jeszcze głębiej.

– Kur... ma... – wybełkotałem przez ustnik automatu, wypuszczając przy tym chmurę bąbelków.

Przechyliłem głowę w dół i, zataczając kręgi Excaliburem, zawęziłem źródło sygnału do niewielkiego fragmentu piaszczystego dna. Wyglądał zwyczajnie, ale musiało kryć się pod nim coś metalowego.

W głębi duszy wiedziałem, że zapewne znowu natrafiłem na jakąś zardzewiałą kotwicę lub ciężarek wędkarski. Mimo to odłożyłem magnetometr i zacząłem odgarniać piasek rękami. Natychmiast wzbiła się chmura białego pyłu, co całkowicie zasłoniło mi widok. Czekałem nieruchomo, aż piasek w końcu opadnie.

Wtedy go zobaczyłem.

Z dna wystawał niewielki, okrągły przedmiot, który na chwilę załśnił złotym blaskiem.

Serce zamarło mi z wrażenia.

Kilka godzin później, po zacumowaniu „Carpe Diem” w marinie, szybkim prysznicu w portowych łazienkach i uczczeniu sukcesu grillowanym homarem w klubie żeglarskim, włożyłem wygodne buty oraz ostatnią czystą koszulę, jaką miałem. Następnie ruszyłem w głąb starego miasta, kierując się do sklepu José Jaramilla.

Mimo że o tej porze Cartagena de Indias przypominała rozgrzaną patelnię, na której przetrwać mogli jedynie turyści i sprzedawcy fałszywych szmaragdów, szedłem ulicą z uśmiechem na twarzy, a w mojej kieszeni brzęczały trzy złote dublony. Myślałem o tym, że zaledwie sześćdziesiąt kilometrów stąd, w miejscu znanym tylko mnie, czekało pięćdziesiąt jeden tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem identycznych monet. Według aktualnego kursu złota ich wartość wynosiła pięćset osiemdziesiąt cztery miliony dolarów, z marginesem błędu wynoszącym milion w obie strony. Nie uwzględniałem nawet ich wartości numizmatycznej ani archeologicznej.

Musiałem mocno zacisnąć pięści w kieszeniach, aby ze szczęścia nie zacząć skakać na ulicy jak dziecko.

Stary antykwariusz, właściciel sklepu El Cofre de Don José, był osobą, do której wcześniej przynosiłem znalezione pod wodą przedmioty, nie znając ich prawdziwej wartości. Don José zawsze uczciwie i dyskretnie je wyceniał, po dokładnych oględzinach przez swoje stare binokle. W Cartagena miało to ogromne znaczenie, ponieważ plotki o zatopionych galeonach rozchodziły się tu szybciej niż błyskawica.

Spacerując ulicą, planowałem, że później wypiję kilka piw, zjem lekką kolację, a wieczór zakończę na pokładzie „Carpe Diem”, ćwicząc na hamaku grę na ukulele, aż zasnę, marząc o życiu multimilionera.

To całkiem dobry plan na wtorkowe popołudnie.

Problem polegał jednak na tym, że realizacja planów szła mi równie słabo, co gra na ukulele.

Gdy otworzyłem drzwi do antykwariatu, usłyszałem znajomy dźwięk dzwonka. Szybko je zamknąłem, aby nie wypuścić cennego chłodu z klimatyzacji.

Sklep wyglądał dokładnie tak, jak można było się tego spodziewać: był mroczny i tajemniczy, a jego atmosfera sugerowała, że w zakamarkach kryją się prawdziwe skarby.

Z pociemniałego ze starości drewnianego sufitu zwisał kryształowy żyrandol z metką pełną zer, zawieszony nad niekończącą się kolekcją kufrów, obrazów, hiszpańskich zbroi, szpad i muszkietów, które don José gromadził przez lata. Za każdym razem, gdy wchodziłem do tego pomieszczenia, intensywny zapach staroci i wiekowego drewna sprawiał, że miałem wrażenie, jakbym wkraczał do ładowni XVII-wiecznego galeonu z Indii Zachodnich.

– Dzień dobry! – zawołałem, nie dostrzegając antykwariusza za ladą.
– Don José?

– Już idę! – odpowiedział chrapliwy głos dochodzący z piwnicy. – Chwileczkę, proszę!

Po chwili mężczyzna pojawił się z wyrazem twarzy osoby, która właśnie zakończyła intensywną kłótnię. Ze skroni spływały mu dwie krople potu, a jego zawsze nieskazitelna biała koszula była cała pognieciona.

– Dzień dobry, panie Vidal – wymamrotał, nerwowo spoglądając na ulicę znad okularów. – Co pana do mnie sprowadza?

– Nie uwierzy pan, ale... – zacząłem, opierając się o ladę i starając się powstrzymać entuzjazm. – Myślę, że w końcu go znalazłem!

– Co takiego pan znalazł? – zapytał, poprawiając okrągłe oprawki na nosie.

– „Tomasito”! – wykrzyknąłem. – Wreszcie odnalazłem galeon „Tomasito”!

Mężczyzna przez chwilę uważnie mi się przyglądał, a następnie ponownie spojrzał w stronę witryny i odpowiedział z wymuszoną obojętnością:

– Ach, to...

– Jak to „ach, to”? Mówię panu, że znalazłem galeon „Tomasito”!

Jego reakcja zupełnie zbiła mnie z tropu. Zacząłem wręcz obawiać się, że coś mu się stało.

– Wszystko w porządku, don José? Wygląda pan na nieco zmartwionego.

– Co? Tak, oczywiście. To znaczy... gratuluję odkrycia – odpowiedział tonem całkowicie niepasującym do tych słów.

Zapadła niezręczna cisza. Wzruszyłem ramionami, sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem to, co chciałem mu pokazać przez cały dzień.

– Cóż... nie wiem, co się dzieje, ale jestem pewien, że to poprawi panu nastrój.

Rozwinąłem chustkę, wyjąłem trzy złote monety i położyłem je na ladzie. Zamilkłem, czekając, aż w jego błękitnych oczach pojawi się zdumienie.

Mężczyzna wyglądał jednak, jakby ktoś wyssał z niego całą krew. Patrzył na dublony, jakbym postawił przed nim trzy pomidory. Oparł się ciężko o półkę za plecami, jakby ogarnęło go nagle, niewytłumaczalne zmęczenie – albo jakby miał alergię na złoto próby osiemnastu karatów.

– I co pan na to? – zapytałem, czekając aż wreszcie coś powie.

Don José rzucił ukradkowe spojrzenie w bok, a następnie znów popatrzył na ulicę. W końcu pochylił się i wyszeptał mi do ucha:

– Proszę natychmiast opuścić to miejsce.

– Co? Ale... – wydukałem, nieco zdezorientowany.

– Przyszli po pana... – mruknął, patrząc mi prosto w oczy. – Czekają na zapleczu. Niech pan udaje, że nic pan nie wie. Proszę spokojnie wyjść, a potem biec, ile sił w nogach.

Zaskoczony, przez chwilę nie byłem w stanie ani się poruszyć, ani myśleć logicznie.

– Ale... kto? Skąd to wiedzą...? – wyjąkałem. Nie mogłem uwierzyć w słowa tego człowieka, któremu przecież całkowicie ufałem.

– Proszę nie pytać, tylko natychmiast uciekać! – powtórzył gorączkowo. – I niech pan nie wraca tu przez jakiś czas – ostrzegł, wskazując w stronę ulicy. – Wiedzą wszystko.

Całkowicie ogłupiały, cofnąłem się o krok, a potem o następny. Wykonując bezsensowny gest, jakbym sprawdzał godzinę na zegarku, wymamrotałem coś niezrozumiałego, odwracając się w stronę wyjścia.

W tym samym momencie z piwnicy dobiegły odgłosy przyspieszonych kroków na schodach, a następnie don José zawołał donośnie:

– Ulises, uciekaj! Szybko, biegnij!

Zamknąłem za sobą drzwi, starając się zachować spokój. Kątem oka dostrzegłem dwóch nieznajomych, którzy wybiegli z zaplecza. Jeden z nich wskazał na mnie palcem, a drugi ruszył w moją stronę, sięgając prawą ręką pod poły marynarki.

Nie wiedziałem, dokąd uciekać, ale posłuchałem rady antykwariusza i rzuciłem się przed siebie. Z duszą na ramieniu, napędzany adrenaliną, roztrącałem przechodniów, mamrocząc pod nosem przeprosiny. Biegłem tak szybko, jakby od tego zależało moje życie. A może rzeczywiście tak było? Pamiętałem w końcu o losie wszystkich poszukiwaczy skarbów, którzy próbowali wzbogacić się na zapomnianych wrakach przede mną. Ostrzeżenia kapitana fregaty, że poszukiwanie „Tomasita” może być niebezpieczne, wreszcie nabrały znaczenia. Naiwnie sądziłem, że jestem sprytniejszy od swoich poprzedników i nie skończę tak jak oni. Dwaj mężczyźni deptający mi po piętach brutalnie obalili to przekonanie.

W duchu podziękowałem sobie, że zamiast japoniek założyłem sportowe buty, i ruszyłem ulicą Inquisición w kierunku zatłoczonego parku Bolívara. Po drodze zderzyłem się z *palenquera* sprzedającą owoce. Cała zawartość kosza, który niosła na głowie, rozsypała się na jezdnię. Kobieta uniosła pięść i krzyknęła coś w swojej afrokolumbijskiej odmianie hiszpańskiego, używanej w chwilach największego wzburzenia. Szczerze cieszyłem się, że nie rozumiem ani słowa.

Usiadłem na chwilę w cieniu ogromnego cokołu pomnika Simóna Bolívara, od którego park wzięł swoją nazwę, aby złapać oddech i sprawdzić, czy nadal jestem ścigany. Serce biło mi jak młot, a gorące, wilgotne powietrze zdawało się nie docierać do moich płuc. Oparłem plecy o marmur, modląc się, by nikt mnie nie zauważył, zanim odzyskam siły.

Nagle usłyszałem pisk opon na placu. Ostrożnie się wychyliłem. Z jednej strony nadjeżdżał policyjny radiowóz, z drugiej zbliżali się dwaj mężczyźni: ogromny blondyn przypominający bramkarza z dyskoteki oraz mulat, który był od niego niższy o głowę i wyglądał na przywódcę. Ten drugi wyjął zdjęcie z kieszeni, i wymachując nim przed twarzami przechodniów, zaczął pytać o mężczyznę z fotografii.

Wtedy dziewczynka z kolorowymi warkoczami i rozbrajającym uśmiechem skinęła głową i wskazała na mnie, jakby była pewna, że bawimy się w chowanego.

Świetnie, po prostu rewelacyjnie – pomyślałem.

Plac miał tylko trzy wyjścia. Jedno blokował dynamiczny duet, drugie – policja, a trzecie znajdowało się za mną.

Wybór był oczywisty.

Wziąłem głęboki oddech, zacisnąłem zęby i ponownie puściłem się biegiem, nie oglądając się za siebie. Zignorowałem nakazujące mi zatrzymanie się krzyki, a także policyjną syrenę, która wyła, jakby właśnie uciekł im przestępca z Alcatraz.

Niestety, uliczki starego miasta w Cartagenie są długie i niemal całkowicie pozbawione zakamarków, w których można by się schronić. Po obu stronach ciągną się kolorowe, kolonialne rezydencje z balkonami porośniętymi bugenwillami, które w tym momencie zupełnie mnie nie interesowały. Na dodatek dopiero teraz zauważyłem, że ulica, którą wybrałem, prowadzi do ślepego zaułka, zamkniętego wysokim murem starego miasta.

Robiło się coraz ciekawiej.

Jednak w momencie, gdy głos w mojej głowie zaczął szeptać, że to koniec, wydarzył się cud.

Wielka drewniana brama jednej z rezydencji nagle otworzyła się przede mną. Bez wahania chwyciłem za klamkę, wszedłem do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Na mój widok właścicielka domu, pulchna kobieta w kapelusiku idealnie pasującym do lnianej różowej sukienki, pobladła tak, że teraz jej twarz wyglądała jak kartka papieru. Zakryła dłoń ustami, tłumiąc przeżoły okrzyk.

– Proszę wybaczyć, proszę pani... – wydyszałem. – Ja tylko...

Zanim zdążyłem dodać coś więcej, rozległo się głośnie stukanie.

– Otwierać, policja! – wrzasnął ktoś z zewnątrz. – Natychmiast otwierać!

Kobieta cofnęła się gwałtownie. Wyciągnąłem rękę w uspokajającym geście, ale niestety osiągnąłem efekt całkowicie odwrotny do zamierzonego. Zaczęła krzyczeć jak szalona i pobiegła w stronę wewnętrznego patio, wołając o pomoc.

To jeszcze bardziej zmotywowało policjantów, którzy przystąpili do wyważania drzwi. Były solidne, ale kwestią czasu pozostawał moment, aż ustąpią.

Kobieta zniknęła za jednymi z drzwi wychodzących na typowe kartageńskie patio, z kwiatami i fontanną, przypominające widok z pocztówki. Miejsce było piękne, ale wciąż sprawiało wrażenie pułapki.

Wszystkie drzwi wokół były zamknięte. Pozostała mi tylko jedna opcja: schody.

Bez wahania wbiegłem po kamiennych stopniach, licząc na to, że znajdę wyjście na dach.

Trzy susy i już byłem na pierwszym piętrze, ale o przejściu na dach mogłem tylko pomarzyć. Korytarz miał sześcioro identycznych drzwi, z których jedne były otwarte, odsłaniając przede mną ponury, przestronny salon pełen myśliwskich trofeów. Na środku leżał dywan z niedźwiedziej skóry, z głową i wszystkimi detalami.

Świetnie – pomyślałem. Włamałem się do domu jakiegoś cholernego myśliwego.

W tym momencie usłyszałem z dołu dźwięk łamanego drewna. Drzwi wreszcie ustąpiły, a wrzeszczący policjanci wpadli do środka.

Miałem mniej niż dziesięć sekund. Pokój miał tylko jedno wyjście – to, którym wszedłem. Rozpaczliwie spojrzałem na gablotę z bronią, chociaż prawdopodobnie była zamknięta na klucz. Przez chwilę myślałem o schowaniu się za jedną z kanap lub pod niedźwiedzim dywanem, ale szybko zorientowałem się, że to byłoby jeszcze głupsze rozwiązanie niż sięgnięcie po broń.

Bez tchu, bez planu i bez drogi ucieczki cofnąłem się pod ścianę. Pogodziłem się z tym, że karty zostały rozdane, a ja otrzymałem same blotki. Skrzyżowałem ramiona na piersi i oparłem się plecami o ścianę.

Wówczas usłyszałem skrzypnięcie zawiasów i uświadomiłem sobie, że dotykam drzwi balkonowych, które w półmroku salonu wcześniej umknęły mojej uwadze.

Odwróciłem się i po omacku odnalazłem klamkę. Otworzyłem okiennice, wychyliłem się przez balkon i zakląłem pod nosem – tuż przed wejściem stała zaparkowana policyjna terenówka.

Za plecami słyszałem głosy dochodzące z parteru. Byłem przekonany, że znajdą mnie w ciągu kilku sekund. Teraz mieli dodatkowy, konkretny powód, by mnie zatrzymać – wtargnięcie na cudzą posesję – jakby wcześniej w ogóle potrzebowali pretekstu. Jeśli nie chciałem skończyć w celi ani stać się przynętą dla rekinów w zatoce, musiałem się ukryć.

Problem polegał na tym, że miałem tylko jedną możliwość ucieczki.

Raz kozie śmierć – pomyślałem, wdrapując się na balkonową balustradę.

Zamachałem rozpaczliwie rękami, próbując złapać równowagę, po czym runąłem jak worek ziemniaków prosto na dach niebieskiego land cruisera. Przetoczyłem się po nim, spadłem na maskę, urywając przy tym policyjną syrenę oraz antenę radiową, a następnie z hukiem wylądowałem na brukowanym chodniku.

Jęknąłem, gdy przeszył mnie ostry ból w plecach, i spojrzałem w górę.

Z balkonu wychyliły się cztery twarze, wpatrujące się we mnie z mieszaniną niedowierzania i wściekłości. Dopiero wtedy zorientowałem się, że trzymam w dłoni urwaną policyjną syrenę.

– Ups... przepraszam – mruknąłem głupkowato, kładąc ją na wgniecionej masce samochodu.

W tej samej chwili zza rogu na plac wjechał kolejny radiowóz z włączonymi sygnałami świetlnymi.

Nie czekałem, aby sprawdzić, czy przyjęli moje przeprosiny. Po prostu rzuciłem się przed siebie w jedynym kierunku, który mi pozostał – w stronę murów miejskich.

Tym razem miałem niewielką przewagę nad ścigającymi. Powinna wystarczyć, bym zdążył dobiec do końca ulicy, gdzie przy murze znajdowały się żelazne schodki prowadzące do Café Tropical – baru na szczycie fortyfikacji, który często odwiedzałem.

Serce podchodziło mi do gardła, gdy wbiegałem po dwa stopnie naraz, aż dotarłem do wejścia do lokalu. O tej porze bar zaczynał zapełniać się turystami, którzy chcieli podziwiać zachód słońca nad Morzem Karaibskim. Jednak romantyczne widoki w ogóle mnie nie interesowały.

Z trudem łapiąc oddech i pocąc się jak mysz w połogu, oparłem się o bar, by na chwilę odpocząć. Natychmiast przed moimi oczami pojawiła się uroczą kelnerka z ciepłym uśmiechem, oferując mi schłodzone piwo.

Przez chwilę miałem ochotę rzucić wszystko i po prostu powiedzieć „tak”, ale strach okazał się silniejszy od tej pokusy. Mruknąłem coś w rodzaju przeprosin, ominąłem ją i poszedłem dalej.

Tyle że to „dalej” kończyło się po zaledwie kilku krokach – na krawędzi miejskich murów. Dziesięć, może dwanaście metrów niżej wrzał ruch na Avenida Santander, a dalej fale z hukiem rozbijały się o betonowy fałochron, który chronił aleję przed naporem oceanu w czasie sezonu huraganów.

Sytuacja stała się jeszcze bardziej beznadziejna. Grunt usuwał mi się spod nóg – Ameryka Południowa kończyła się na tym fałochronie, a ja nie miałem już dokąd uciekać.

Wyszedłem na blanki, upewniwszy się, że jedyną drogą ucieczki jest skok z muru. To oznaczało jedno – lądowanie na bruku alei, co wcale nie brzmiało zachęcająco. Opadłem ciężko na jedną z leżanek dla turystów, rozstawionych na murze, i przez chwilę po prostu siedziałem, zrezygnowany.

Sekundę później policyjny wóz zatrzymał się z piskiem opon u stóp schodów, a żelazne stopnie zadrżały pod ciężarem sześciu uzbrojonych funkcjonariuszy.

– Cholera!

Zerwałem się na równe nogi i gorączkowo rozejrzałem w poszukiwaniu ratunku lub kryjówki. Niestety, nie znalazłem ani jednego, ani drugiego. Co gorsza, klienci baru zaczęli przyglądać mi się z rosnącą

podejrzliwością – więc wmieszanie się w tłum również nie wchodziło w grę.

Miałem tylko jedno wyjście: mur. Jego ściana była lekko nachylona na zewnątrz, ale nie na tyle, aby bezpiecznie zjechać po niej w dół. Nie było też żadnych rur, po których można by się spuścić, ani występów, których można by się złapać – tylko nierówna, śliska kamienna ściana o wysokości czterech pięter.

Dlaczego w filmach zawsze pojawia się rynna lub lina, za którą można się chwycić? Gdyby tylko istniało coś, co mogłoby zamortyzować upadek... – pomyślałem, zerkając w dół. Następnie odwróciłem się i spojrzałem na miejsce, w którym chwilę wcześniej siedziałem.

– A niech to szlag! – prychnąłem.

Bez wahania zerwałem materac z leżaka i wdrapałem się na krawędź muru. Gdy pierwsi policjanci wbiegli na taras, krzycząc: „Stać, policja!”, ja już siedziałem na materacu, zjeżdżając w dół, jakby mur był torem saneczkowym.